

# TYGODNIK ILLUSTROWANY



№ 4.

Prenumerata w Warszawie rocznie rsr. 8,  
półrocznie rsr. 4, kwartalnie rsr. 2,  
miesięcznie kop. 67½.

Warszawa,  $\frac{10}{22}$  października 1859.

Cena pojedynczego numeru kop. 20.

Prenumerata na prowincyi i w cesarstwie  
rocznie rsr. 12, półroc. rsr. 6, kwartal.  
rs. 3. Koperta oddzielna 2 rs. rocznie.

TOM I.

## TREŚĆ NUMERU.

Aloizy Żółkowski (z drzeworytem). — Kronika tygodniowa. — Instytut muzyczny w Warszawie (z drzeworytem). — Przeniesienie relikwii św. Wiktora (z drzeworytem). — Kronika sztuk pięknych. — Ustęp z poematu: „Pan Fortunat“. — Korrespondencja od redakcyi. — Przegląd teatralny. — Zamek Kamieniec (z drzeworytem). — Szachy i rebus.

## Aloizy Żółkowski.

Są nazwiska, w rodzinie artystycznej zwłaszcza, do których przywiązaniem zdaje się dziedzictwo talentu i sympatyi publicznej. Takimi byli Vernetowie jako malarze, Bachowie jako muzycy, Vestrisowie jako tancerze. U nas Żółkowscy, jako artyści dramatyczni, zdają się należeć do tych uprzywilejowanych przez los rodzin.

Jeżeli szlachectwo obowiązuje (noblesse oblige), to większy jeszcze ciężar, trudniejsze nieraz obowiązki wkłada nazwisko słynne w dziejach sztuki na tych, którzy pragną na tém samym polu co ich ojcowie kłaść zasługę i zyskiwać uznanie.

Najczęściej tak bywało i zwykle tak bywa, że pamięć umarłego staje się niejako cieniem dla zasługi żyjącej, i rzadko kiedy porównanie na jej korzyść wypadnie. Z Aloizym jednak Żółkowskim działo się inaczej.

Ojciec jego, znakomity artysta komiczny i ulubieniec publiczności, słynął zarazem w Polsce za najdowcipniejszego człowieka swojego czasu. Aloizy Żółkowski, urodzony w Warszawie dnia 4 grudnia 1814 r., straciwszy ojca w 6 roku życia, po ukończeniu szkół wojewódzkich warszawskich ks. pijarów, wszedł do teatru warszawskiego jako chórzysta w r. 1832, a dnia 27 października 1833 r. wystąpił po raz pierwszy w roli Anglika, w operze *Fra Diavolo*.

Piękna to wówczas była epoka sceny warszawskiej. Panna Żuczowska, później — pani Halpertowa, panna Teresa Palczewska i Piasecki jasnieli w całej pełni swojego talentu; Kudlicz, Werowski, Zdanowicz, otoczeni ogólnym uznaniem i sympatją, kończyli zawód sceniczny, wyrobiwszy sobie w nim imiona, które długo przypominać będą ich zasługę i wysoko rozwinięte zdolności dramatyczne; Jasiński i Panczykowski, rozpoczynając długi szereg dalszych powodzeń, dobijali się w pośród tych ulubieńców publiczności o przynależne sobie miejsce.

Nie łatwe to było współzawodnictwo dla młodego człowieka, pierwszy raz występującego w szranki, a chociaż sympatycznie dla uszu Warszawian brzmiało nazwisko tak ulubionego przez nich artysty, to tém łatwiejszy mógł być upadek, im więcej dawne wspomnienia wymagań nastęrczały. Nad wszelkie jednak spodziewanie szczęśliwe przyjęcie, jakiego młody Aloizy doznał w pierwszych wystąpieniach, szczególnie w sztuce „Dwaj Klingsbergowie“, przela-

usprawiedliwia te wszystkie jego bezprzykładne prawie powodzenia. Właściwem jego polem zdają się role charakterystyczne; na tém też polu najobfitsze zbierał zawsze laury. W operach, dramatach, w wyższych komedjach, w farsach nawet, wystąpienie Żółkowskiego stawało się rękojmią powodzenia sztuki, i największym może dowodem jego genialnego prawie talentu są role nie nieznanące same przez się, które on siłą gry swojej wyniósł do pierwszego rzędu i uczynił najbardziej ulubionemi dla publiczności.

Trudno zaiste oznaczyć w tym nawale różnorodnych charakterów, jakie najwięcej przypadają do usposobienia naszego artysty. Jest to prawdziwy Proteusz, któremu w ciągle mieniających się postaciach ani właściwego kształtu, ani właściwej barwy nadać nie można. Przeżyły i zużyty hulaka w „Zachodzie słońca“, przemienia się w „Biednym rybaku“ na młodą postać pełną ognia i zapału, którym elektryzuje widzów i zapewnia tej sztuczce, z kądną drobnej i dość nawet mierniej, bezprzykładne niemal powodzenie. Taki głupowaty i zupełnie prawie zatarty moralnie *szambelan* w „Panu Jowialskim“, albo *marszałek* w „Doktorze medycyny“, staje nagle w naszych oczach typem starszłacheckiej układności, otoczonym tym niepodobnym prawie do ujęcia, a tak rzadko już teraz napotykającym się na świecie kwiatem dawnej salonowości, dumy magnackiej, wolności obyczajów i gładkości powierzchownej, ukrywającej brzydotę moralną, jak w roli *margrabiego* w „Pannie de la Seiglière“, albo *barona* w „Kamieniu probierczym“. Znany dobrze, a wybornie przez Żółkowskiego odgadnięty i ujęty typ *Bartola* w „Cyruliku sewilskim“, przekształca się w naszych oczach na ucziwą, szlachecką postać *barona* w „Szlachectwie duszy“, a nagle jednym skokiem odwzorowawszy całą śmieszna stronę dawnych tutejszych rezydentów w *Papkinie* Fredry, stawia nam przed oczy ideał dawnego wojskowego francuzkiego w „Przebudzeniu się lwa“, albo w „Więzach“, i rozśmiesza nas w „Mi-



ALOIZY ŻÓŁKOWSKI.

mało od razu te wszystkie trudności. Powodzenie to otworzyło przed nim piękną i szeroką drogę ciągłych tryumfów, a śmiało i wytrwale po niej postępując, ani razu nie doznał rozczarowania, ani razu nie zdarzyło mu się widzieć zachwianemi to współczucie, tę że tak powiem miłość, jakimi go publiczność od pierwszego zaraz kroku otoczyła.

Bo też szeroki a różnobarwny talent Żółkowskiego

nie córce burmistrza“ albo w „Zuchu mimo chęci“ nieporównaną naiwnością szwajcarskiego lub włoskiego chłopca. Któżby w tej postaci *Kromwella*, przerażającej historyczną prawdą, a stworzonej prawie przez naszego artystę, bo autor „Muskieterów“ dbał może więcej o efekta sceniczne, aniżeli o odwzorowanie w jego wielkości dziejowej tego charakteru całą epokę pochłaniającego w sobie, — któżby mówił w tym

*Kromwellu* potrafił odgadnąć szarlatana *Dulkamare* w „Napoju miłosnym,” albo starego pijaka *Szaruckiego* w „Majstrze i Czeladniku.” A stokrotnie prawie przedstawienia takich sztuczek jak n. p. „Vendetta,” „Landara,” „Pafnucy i Narcyz,” „Raptus,” sztuczek stworzonych niemal tylko wyłącznie dla Francuzów, w których gra wszystko znaczy, którym żywość i dowcip aktorów francuzkich i wyborne odwzorowanie typów miejscowych tamecznych, zaledwie zdołają chwilowe tylko zapewnić powodzenie, czyż nie dowodzą siły tego olbrzymiego talentu, dochodzącego intuicyą do rezultatów, jakim najdokładniejsze studyowanie miejscowości nie dorówna może?

Nie skończyłbym tak prędko, gdybym chciał tu wliczać wszystkie role, których wzorowe oddanie postawiło Żółkowskiego na szczycie powodzenia scenicznego, na jakim obecnie znajduje się u nas. Nazwisko jego na afiszu starczy za najbardziej nawet rozgłosną sztukę, za najwięcej ulubionego przez publiczność autora. Od wielu może lat nie zdarzyło mu się grywać przed pustymi ławkami, a pojawianie się jego na scenie po chwilowych przerwach, spowodowanych słabością zdrowia, jest prawdziwą uroczystością teatralną, i w takich razach zapal widzów dla ulubieńca sceny naszej granic prawie nie zna.

Sama natura wiele już dla Żółkowskiego uczyniła. Zasobny on jest we wszelkie powierzchowne przymioty, potrzebne dobremu artyście i zapewniające mu już początki powodzenia, które praca i talent utwierdzają. Wysokiego wzrostu a mierniej tuszy, potrafi postawę swoją nagiąć do odwzorowania wszelkiego rodzaju różnorodnych postaci. Aleć sama twarz i głos zasługują w nim na uwagę przed innymi. Twarz piękna, czoło otwarte, rysy wyraziste, oczy umiejące dziwnie odbijać całą skalę odcieniów potrzebnych do niemej gry, w której Żółkowski szczególnie celuje. Widzieliśmy go w scenach zupełnie milczących, w których całą uwagę publiczności on sam przed innymi potrafił szczególnie zająć. Mniej od innych potrzebuje on charakteryzować się za pomocą malowania i pracowitych przemian, nadawać twarzy swojej odrębny charakter; jedno skrzywienie rysów dziwnie ruchliwych wystarczy u niego: muszkuły się kurczą lub przekształcają, cała fizyognomia zmienia się do niepoznania i pozostaje tak, dopóki wszechwładna wola artysty nie nakaze jej inny kształt przybrać. Osobom w bliższych z Żółkowskim będącym stosunkach, znany jest dobrze żart, za pomocą którego potrafi on twarz swoją nastroić do płaczu i śmiechu zarazem: jedna strona oblicza śmieje się, a druga płacze, jedno oko we łzach, drugie tryska wesołością, a wesołość ta lub smutek komiczne i zmieniające się wedle woli i w jednym mgnieniu oka. Rzekłbyś dwie półtwarze dwóch oddzielnych ludzi, dziwną jakąś sprawą czarodziejską połączone w jedno i przyrośnięte do siebie.

Głos także silny, dźwięczny, dziwnie giętki w uszach, a rozległy w skali. Co inni długoletnią pracą i nauką zyskują, on od początku miał już sobie nadane. Najtkliwsza rzewność, najwybitniejsze odcienia komiczne, często nawet prawdziwie meżka energia, z zadziwiająco łatwością wydobyć się dają z tego tak dźwięcznego organu. Żółkowski, wykształcony muzykalnie, śpiewa i występuje w operach komicznych, a tam wyborna gra jego dozwala mu walczyć o lepsze z najulubieńszymi nawet śpiewakami.

W talencie Żółkowskiego najbardziej przeważa strona twórczości, która w każdym razie i w każdym zawodzie za najwyższy dar Boży uważać się winna. On rzadko kiedy daguerotypuje i kopiuje, a często w odgrywanych przez siebie rolach odkrywa odcienia, o których sam autor może nie myślał. Z tego też powodu niema dla niego roli mało znaczącej, każdą której się podejmie, talentem swoim uszlachetnia i podnosi. Wieleż to charakterów widzieliśmy stworzonych przez niego; jeżeliby naprawdę nie istniały w życiu, to każdy, widząc grę Żółkowskiego, gotów twierdzić że powinnyby one istnieć. Przykładów nie przytaczam, każdy z nas ma je w pamięci. To jak wielcy poeci, którzy odtwarzając zamierzchłe dzieje, potrafią siłą twórczości swojej wywoływać cudne postacie, które w rzeczy może nie istniały. Lecz jeżeli Hamlet nie istniał takim, jakim go Szekspir maluje, to właśnie tylko wina rzeczywistości, która powinna była utworzyć ten charakter, wylęgły w wielkiej wyobraźni poety. Wracając do Żółkowskiego, twierdzimy że nie należy on do rzędu tych aktorów z europejskim nawet imieniem i wzięciem, którzy

odtworzywszy sobie po pracowitem i sumiennem wstudyowaniu jeden typ, pozostają już nadal w raz utartej koleji, i doskonalili w grze, ani gestem, ani mgnieniem, ani odcieniem głosu nie oddalają się od raz ułożonego charakteru, nie zstępują na bok z tej ścieżki ubitej. Żółkowski wiele bardzo pozostawia chwilowemu natchnieniu, które też zawsze prawie przychodzi mu w porę, i zdobywa oklaski publiczności często za pomocą innych zupełnie środków, aniżeli to w poprzednim przedstawieniu uczynił. Więc też zdarza się nierzadko, że wychodzący z teatru rozpowiadają jedni przed drugimi, że Żółkowski dzisiaj w doskonałym był humorze; oni nie wiedzą, że ten doskonały humor, to jest prawdziwe natchnienie, najwyższy dar Boży.

Nie chcemy tu przecież twierdzić, żeby Żółkowski nie studyował ról i nie pracował szczerze nad niemi; owszem, myślący to i sumienny artysta. Nie puści on żadnej roli bez zastanowienia się dokładnie nad każdym słowem, uczy się starannie na pamięć, bardzo mało oczekując na pomoc suflera. I pod tym względem nawet, jak pod tylnymi, moglibyśmy go wszystkim poczynającym aktorom za przykład stawić.

W roku zeszłym dnia 27 października wypadła rocznica 25-letniej pracy scenicznej Żółkowskiego. Z tego powodu, jak ogólnie wiadomo, utworzony został konkurs z nagrodą składkową za najlepszą komedią, w którejby Żółkowski mógł znaleźć dla siebie stosowną rolę. Ten ostatni warunek był niepotrzebny; dla takiego artysty jak Żółkowski każda prawie rola będzie stosowna. Wypadek konkursu znany. Premiowana komedia „Majątek albo imię” będzie wkrótce przedstawioną na scenie naszej, i Żółkowski ma w niej odegrać rolę hrabiego; spóźnione tylko rozsadzenie konkursu, nie dozwoli zapewne przedstawieniu temu wypaść dnia 27 października r. b., jako w rocznicę jubileuszowej uroczystości, tak jak sobie założyli nagrododawcy.

Kończąc to pobieżne i niedokładne ocenienie talentu tyle znakomitego artysty naszego, winniśmy jeszcze zanotować tu wspomnienie jednej z najprzyjemniejszych chwil, jaką mu miłość jego współtowarzyszów i ogólny szacunek który sobie pomiędzy nimi zjednać potrafił, zgotowały. Przy początku bieżącego roku, na uroczenie 25-letniej pracy, tak pożytecznej dla naszego teatru, tak zaszczytnej dla sztuki, artyści tutejsi ofiarowali Żółkowskiemu, jako dar składkowy, pierścień z brylantem w wieńcu laurowym, z napisem w środku: „Aloizemu G. (Gonzadze) Żółkowskiemu, za 25 lat pracy scenicznej, koledzy.” Przy oddaniu jubilatowi tego pierścienia, J. Jasiński, dyrektor teatrów, objawił w imieniu innych artystów uczucia jakich dar ten był wyrażeniem. Do pierścienia dołączona była lista podpisów towarzyszy Żółkowskiego, w wieńcu który otaczał fotografią jubilata. Na liściach tego wieńca wypisane były tytuły sztuk, w których Żółkowski występował; na szczycie zaś, dziwnym zbiegiem okoliczności, znalazła się sztuka „Jaki ojciec taki syn.”

W środku tego wieńca umieszczony był następujący wiersz Jana Chęcińskiego:

Świecąc geniuszem stulecia część czwartą,  
Obok wawrzynów, coć niosą rodacy,  
Przyjm szczerem sercem i duszą otwartą  
Skromną pamiątkę braterstwa i pracy.  
Świat czei artystę — nam niedosyć na tém.  
Niechaj ten pierścień wspomnienie utrwali,  
Że ci, coś im był i wzorem i bratem  
Czcząc cię jak mistrza, jak brata kochali.

Damy polskie, na tę samą pamiątkę, obdarzyły również Żółkowskiego pierścieniem brylantowym.

## Kronika tygodniowa.

Piękne to, wspaniałe i dobroczynne miasto ta Warszawa. Posiada ona pałace z herbami i ochrony dla ubogich, place i ogrody, piękne kobiety i wesołą młodzież, zakłady dobroczynne i ostrygi pocztowe, dwa handle z papugami, psami i kanarkami uczonymi i 79,843 fortepianów. Powtarzam, piękne to miasto ta Warszawa; ale w jednym jedynym przymiocie Bóg ją upośledził, jednej rzeczy nie posiada ona wcale: oto lubowników malarstwa. Artyści są, na-

wet zdolni, ale tych coby wspomagali i popierali ich prace i usiłowania, ani znaleźć. Pochodzi to może z tego chrześcijańsko-moralnego przekonania, zbyt silnie jak widać w umyśle Warszawian wpojonego, że kiedy liśociwy Pan Bóg o najdrobniejszych nawet ptaszkach nie zapomni, to i o artystach będzie pamiętał. Ale na nieszczęście artyści daleko więcej potrzebują niż niebiescy ptaszki, i manna, która im bardzo rzadko od czasu do czasu spada z nieba, zaledwie ich od śmierci głodowej ochronić może.

Te wszystkie uwagi nastęrczyła mi wystawa nasza krajowa sztuk pięknych, którą w tych dniach zdarzyło mi się odwiedzić. Przybyło tam kilka nowych obrazów Simmlera, Kostrzewskiego, Maleszewskiego, Synpiewskiego i innych, wiele tam rzeczy prawdziwie ładnych, przyjemnych dla oka, ponętnych wyborem przedmiotu, a zajmujących tą rodzinną barwą, która wszędzie tam przebija. Obecnie rozszerzono lokal, przybrano dwa pokoje, które już w połowie zapełnione są nowymi pracami. I cóż to pomoże, kiedy odwiedzających mało, a kupujących mniej jeszcze. Poważnie wiszą obrazy na murach i stalugach, melancholicznie patrząc jeden na drugiego i dziwiąc się że pomiędzy temi postaciami malowanymi tak mało żywych się pojawia. Podobno zeszły kwartał stu nawet złotych nie przyniósł dochodu z rozprzedanych biletów wejścia. Z czegoż tu lokal opłacić? A jak po długich targach przez pół roku kupi ktoś jeden obraz, to już niby to bardzo pomysłny rezultat. Aż żal bierze patrzeć na to wszystko. Szkoda tych uczciwych usiłowań, szkoda tej gorliwości całej. Smutnoby było, żeby tak piękna instytucja miała się zmarnować, zwłaszcza że niełatwo przyszło do utworzenia jej. Niechajby publiczność nasza chciała o własnym dobru pamiętać, bo przecież stan pomysłny sztuki krajowej, to wieniec nieśmiertelności, jaki naród wkłada na siebie.

Za to teatru nie mogą się skarżyć na brak widzów w tych czasach. Każde prawie przedstawienie pełne. W ubiegłym tygodniu dano jakoś folgę widowiskom komicyjnym; za to mieliśmy nowy balet „Karnawał paryzki,” z nader świetną wystawą i wieloma bardzo niezwykle pomyslanymi tańcami. Pani Ziemińska, po kilkumiesięcznej przerwie, wystąpiła w roli Zuzanny w komedii „Wesele Figara” i bardzo przychylnie przyjęta została przez publiczność. Obawy jakie przez pewien czas wzbudzał stan zdrowia tej utalentowanej artystki, okazują się płonnymi.

Doktor Tytus Chałubiński, p. o. profesora akademii medyko-chirurgicznej warszawskiej, miał w zeszłą sobotę w auli akademicznej prelekcją patologii i terapii szczególnej. Wymowny i jasny wykład nowego profesora, wysokie wzbudził zajęcie w słuchaczach.

W zeszłą sobotę oddano ziemi zwłoki ś. p. Antoniego Lesznowskiego, redaktora głównego „Gazety Warszawskiej,” o którego stanowisku literackim i dziennikarskim krótka wiadomość umieszczoną została w przeszłym Nrze „Tygodnika Ilustrowanego.” Tysiące osób składały orszak żałobny, zmarły bowiem tak z powodu stanowiska jakie zajmował, jako też wżycia się od najmłodszych lat w warszawskie społeczeństwo, (bo urodzony w naszym mieście, tutaj też większą część życia swojego przepędził), bardzo był znanym i licznych posiadał przyjaciół. Widzieliśmy pomiędzy innymi postępującego za trumną szanownego księdza Adama Jakubowskiego, b. profesora na Żoliborzu i rektora ojców pijarów, który był kiedyś nauczycielem ś. p. Antoniego, a dziś należał do smutnego orszaku, odprowadzającego na miejsce wiecznego spoczynku zwłoki zmarłego. Ten pogrzeb tak liczny, to różnobarwne zgromadzenie przedstawicieli wszystkich niemal stanów, wszystkich powołań, około trumny jednego człowieka, staje dowodem ważności i znaczenia, jakie piśmiennictwo perydyczne zaczyna przybierać u nas. Było to niejako uswięcenie powagi słowa pisanego, które od pewnego czasu donośniej tutaj daje się słyszeć, większego wpływu nabiera.

Ś. p. Antoni Lesznowski należał wiekiem i koleżeństwem do tego zmniejszającego się już ciągle pokolenia pracowników, którzy pierwsi po długiej przerwie starali się tutaj wzbudzić miłość dla piśmiennictwa krajowego. Tych ludzi, z pomiędzy których wielu pierwszorzędnymi nawet wyblęsnęło zasługami, liczne, dorodne i wesołe grono, przed kilkunastą jeszcze latami puściło się szeroką drogą młodych nadziei i wiary

w przyszłość szczęśliwą. Wesoło i gwarnie odbywały się te początki podróży; każdy z nich, ufając własnym siłom, ufając temu słońcu młodości, które wątpić nie dozwala, sądził że wielkich dosięgnie celów, że pomniki pięknej a użytecznej pracy zostawi po sobie ziomkom. I powoli ten i ów ustawał w drodze; niektórzy zbroczyli na wygodne beczynościami przystanki, inni, zmęczeni przedwcześnie, a odstraszeni może trudnościami dalekiej podróży, zasnęli w cieniu pierwszych pochwał i tryumfów; inni znowu padali jeden po drugim, przygnieceni ciężarem pracy, może nad siły podjętej. I tak z każdym rokiem, powoli, liczba ta zmniejszała się, ścieśniał się szereg, oglądali się po sobie, i już zaledwie kilku towarzyszy potrafił zliczyć, którzy smutni i ze zwieszoną głową, szli coraz dalej drogą najeżoną przeszkodami, tracąc powoli zaufanie w siebie, bo życie nauczyło już ich mierzyć się z siłami, bo widzieli że ciężka praca, że krwawe nawet trudy nędzny tylko i ubożuchny plon przyniosły. Więc gdy który znów ustaje w chodzie, ścieśniać szeregi trzeba i podzielić się po dawnemu zwiększonym ciężarem. Ale trudno... taka kolej... młodszy spychają nas z pola; bogdajby oni nasze błędy naprawiać umieli, a jeżeli dla wspólnego dobra chociaż jedno pożyteczne ziarno potrafilibyśmy zaszczerpić z trudem, niechaj oni ten nasz zasiew chwalebnie dokończą.

Inną śmierć z ubiegłego tygodnia przychodzi nam także zanotować; umarł Hilary z „Kuryera“. Wielu z niewarszawskich czytelników, bo nie wątpię że warszawscy wszyscy go znali, zapytają mnie zapewne kto był ten Hilary? Owóż odpowiem: był to skromny roznosiciel „Kuryera Warszawskiego“, który większą część swojego życia strawił na jego usługach. Hilary, to ostatnia może pozostałość po Dmuszewskim, to najzaufańszy jego sługa, to najgorliwszy jego wielbiciel, który widział w nieboszczyku panu swoim zbiór doskonałości ludzkich i geniuszu ziemskiego, a w „Kuryerze Warszawskim“ jedyne pismo mądre a pożyteczne, które winno stać na świeczniku całej ludzkości. Hilary ciałem i duszą oddany był Kuryerowi, daj Boże każdemu piśmie tak wiernego a gorliwego pomocnika. Pomimo wieku i styranym już sił, biegł ten *Merkury Kuryera*, bo pod tą nazwą znany był ogólnie w Warszawie, po wszystkich kątach miasta, znosząc wiadomości, nowości, plotki, co tylko gdziekolwiek dało się usłyszeć. Wszystko co drukowanem było w Kuryerze, wydawało mu się świętym, dałby się zaręczyć za prawdę każdego zamieszczonego tam wyrazu. Innych gazet nie cierpiał i twierdził że najzupełniej niepotrzebne są ludzkości, że świat o jednym Kuryerze bezpiecznie i swobodnie żyć sobie może, że czego się tam nie nauczy, to mu się i nie na wiele już pewnie przyda. A każdego z prenumeratorów ulubionego swojego pisma znał najdokładniej, i przy wszystkich rodzinnych uroczystościach, awansach, imieninach, ślubach i t. d. jawił się z różowym Kuryerem w ręku, z powinszowaniem na ustach, z zawsze gotową odpowiedzią, i nawet ze zręcznym przycinkiem w razie jakiej zaczepki. I tak do końca swojego życia przetrwał na wyłomie, walcząc gorliwie za sprawę którą już był z dawnych lat sobie poślubił. Z nim razem zginął ostatni typ dawnych roznosicieli warszawskich. Najwybitniejszym ich wyrażeniem był dobrze znany tu niegdyś *Famulus Żółkowski*, którego wierny konterfekt, udzielony nam przez jednego ze współpracowników „Tygodnika Ilustrowanego“, umieścimy kiedyś w naszym piśmie. Te kilka słów winniśmy byli pamięci Hilarego, bo każdy, który wiernie a gorliwie spełnia tutaj choćby najskromniejszy zawód, zasługuje na dobre wspomnienie.

Hotel europejski w całej okazałości swojej odkrył się już Saskiemu placowi. A i ten olbrzym nawet, spoglądając z wysokości trzech pięter swoich na otaczające go poziome grono mieszczańskich domków, nie potrafił jednak się ustrzedz od sklepowej inwazyi, która wszędzie w tych stronach rozpoczęła już parterowe panowanie swoje. Piękna sala narożna, z okazałym wejściem od ulicy, przeznaczoną tam jest na *Café*.

Pamiętamy że kilka lat temu właściciel jednej z najbardziej tu uczęszczanych kawiarni, zmuszony został do zmienienia lokalu, z powodu reperacyj mających się odbyć w kamienicy, gdzie było jego dotychczasowe siedlisko; ofiarowano mu wówczas przy głównej ulicy, w nowym domu lokal okazały i ozdobny. Nie przyjął. „To nie dla mnie, rzekł on, te wszystkie nowości, a któżby do mnie tu przyszedł? Warszawianie lubią stancjki zabrukane, zadymione, meble stare, bufet

który czasy księstwa warszawskiego przypomina. Daj im w kawiarni albo w handlu win lokal piękny, okazały, przyzwoicie umeblowany, to możesz być pewnym że zginiesz z kretešem. Pod tym przynajmniej względem Warszawianie przywiązani są do tradycyi, lubią zaspokajać pragnienie, albo grać w warcaby lub w tryszaka, tam gdzie ciasno, dymno i ciemno.“

Ale obecnie usposobienie Warszawian musiało się zapewne zmienić, bo właściciel kawiarni europejskiej zamierza ją podobno urządzić na sposób paryzki, z całą tameczną świetnością i wystawą. Będziemy więc pili ucywilizowaną kawę i herbatę postępową. Ale co najważniejsza, słyhać że tam założonym będzie gabinet czytania, gdzie nie tylko znajdą się pisma periodyczne w różnych językach, ale nawet pisma czasowe i ważniejsze dzieła. Za granicą podobnego rodzaju zakładów mnóstwo i prosperują one wielce; u nas zaś, kiedy żaden z nich o własnych siłach pojawić się jeszcze nie mógł, dobrze przynajmniej, że się coś podobnego do herbaty kawy i ciastek przyczepi. Więc przez żołądek mądrość będzie nam do głowy płynąć. Trudno, kiedy nie może być inaczej, kiedy żołądek tu najpotężniejszy, najgłośniejszy do nas przemawia i najwięcej szacunku wzbudza. Bo jak mówi poeta:

W tém naszym społeczeństwie zgnuśniałem a suchém,  
Gdy nie możemy głową, łatajmy się brzuchem.

A zresztą wszakże każdemu wiadomo, że w teraźniejszym społeczeństwie głowa, ze wszystkich części ciała, najsmutniejszą i najmniej korzystną gra rolę. Widziałem takich co z uczciwej pracy rąk sporego dorabiali się majątku, widziałem innych, którzy przebijając nogami zyskiwali krocie; giętki kark zdolny jest wykie rować na milionera szczęśliwca, któremu w darze udzielony został; dobre gardło jest prawdziwą Kalifornią dla tych, którzy je posiadają. Nawet w niektórych razach brak niektórych części ciała staje się dość intratnym, znałem bowiem pewnego artystę, który pozbawiony rąk, grając nogami na katarynce, dorobił się tym sposobem grosza; sami tylko ci, którzy pracują głową, pozostają zwykle w niedostatku, i muszą zaledwie żywić się resztkami, jakie tamci wszyscy na uczcie życia pozostawiają po sobie.

Jesteśmy pod tym względem zupełnie podobni do kamienic miejskich, w których najwyższe piętro zawsze najmniej przynosi dochodu.

Jeżeli przemysł i handel na niskiej jeszcze stoją u nas stopie, to przynajmniej głów wynalazczych nie brak. Wsamiej np. gubernii warszawskiej wynaleziono już od kilku lat trzy razy perpetuum mobile, i Bóg wie nie jakie już olbrzymie przedsięwzięcia ogłoszono w gazetach. Obecnie jakiś chemik ogłasza znowu iż pewna chętna osoba, jeżeli udzieli pewną kwotę na pewien wynalazek, mający rokować znakomite nadzieje w przyszłości, może pewnego, a ogromnego spodziewać się zysku. Sami wyznacie że doniesienie to jest bardzo zachęcającem, a w szczególności odznacza się wielką jasnością wykładu. Nie wątpię że wynalazek tego pewnego chemika, który tak dobitnie wyrażać się potrafi, godnym jest zwrócić na siebie uwagę uczonych europejskich; można mu przynajmniej udzielić patent swobody na nowy rodzaj dowcipnej redakcyi ogłoszeń. To nam przypomina doniesienia często nadchodzące z zagranicy, mianowicie z Anglii i z Niemiec, że każdy z panów Polaków, który potrzebuje pieniędzy, może otrzymać z łatwością, i to w bardzo krótkim czasie, od kilku tysięcy do kilku milionów pożyczki, byleby chciał opłacić przedwstępne koszta za pisanie i przesyłkę listów i t. d., wynoszące zawsze mniej więcej kilkanaście rubli. Za kilkanaście rubli otrzymać parę milionów, wcale jest niezłym interesem, więc też już niejeden dał się na ten lep pochwycić.

#### INSTYTUT MUZYCZNY WARSZAWSKI.

Wspomnieliśmy już czytelnikom naszym o mającym się założyć w Warszawie w roku przyszłym Instytucie Muzycznym; pragnąc teraz zapoznać ich bliżej z tym niezmiernie mogącym się stać użytecznym w kraju zakładem, podajemy o nim bliższe szczegóły.

Wiadomo, że dotychczas młodzież nasza, zamierzająca się kształcić w zawodzie muzycznym, na elementarnych zaledwie poprzestawać musiała wiadomo-

ściach, gdyż specjalna nauka, z powodu że znacznej nieraz liczby nauczycieli wymaga, jako zbyt kosztowna, dla niewielu tylko osób dostępną była. Dlatego też każdy, komu fundusze wystarczały, udawał się w tym celu zagranicę, bo tam w zakładach muzycznych naukowych znalazł łatwo to, co u nas z trudem zaledwie osiągnąć można było. Odtąd więc każdy będzie mógł znaleźć naukę w kraju, naukę wszechstronną, wszelkimi możliwymi środkami ułatwioną, gdyż celem tego nowego instytutu jest nie tylko biegłych wirtuozów, zdolnych nauczycieli, dobrych artystów krajowi przygotować, ale co ważniejsza może, ukształconych organistów świątyniom naszym dostarczyć, by służba Boża godnie odprawiana być mogła, by pieśni, jakimi od tylu wieków naród chwali Najwyższego, majestatyczną potęgą organu zacnie i godnie podniesione, ogrzewały i rozniecały modlitwy pragnienie.

Powołanie organisty, nawet wiejskiego, nie jest rzeczą tak małej wagi, jak się z pozoru niejednemu zdaje. Przecież nie same tylko wielkie miasta dostarczają sztukom ludzi zdolnych i od natury wyższymi talentami obdarzonych; na wsi znajdzie ich się może więcej jeszcze; a skoro będzie ktoś czuwał nad wszelkimi muzykalnościami objawami, gdy umiejętnie w pomoc im przyjsć zdoła. Nic się nie uroni, bo każda zdolność, każdy talent znajdzie przytułek i naukową w kształceniu się opiekę. Taki tedy organista, z natury powołania swego, będzie już pośrednikiem pomiędzy wiejską młodzieżą a instytutem założyc się mającym. Rozliczne w przyszłości szkółki, jakie może powstaną w rozmaitych stronach kraju, z pomocą miejscowych proboszczów, będą głównym zarodem artyzmu. Lecz zbyt cenną byłoby rzeczą przesądzać korzyści, jakie sztuka nasza muzyczna z założenia takiego instytutu w rozmaitych swoich gałęziach odnieść może i powinna; nie to jest teraz celem naszego pisma, raczej chcieliśmy zapoznać czytelników naszych z niektórymi artykułami postanowienia Rady Administracyjnej, upoważniającego Apolinarego Kątskiego, solistę Dworu Jego Cesarsko-Królewskiej Mości, do założenia w Warszawie, pod opieką Rządu, szkoły muzycznej, pod nazwą Instytutu Muzycznego Warszawskiego.

Art. 2. „Pozwolenie na utrzymanie i prowadzenie Instytutu Muzycznego służy p. Kątskiemu na pięć sześciolatnich okresów, i z tego powodu Rząd zastrzega sobie, aby w piątym roku każdego okresu, wykazał założyciel dostateczne zasoby pieniężne, któremi wydatek sześciolatni zbliżającej się epoki, niezależnie od środków pomocniczych, ze strony Rządu zapewnionych, opędzać zamierza. Wysokość tych zasobów w epokach następnych, nie może być w żadnym przypadku mniejszą od funduszu, jaki p. Kątski na pierwsze lat sześć ze stypendyj protektorskich podejmuje się zebrać.“

Art. 4. „Uposażenie instytutu zakładowego, dopełnione być ma siłą *ofiar prywatnych*. Potrzebny na ten cel fundusz rs. 7,175, zebrany być ma staraniem p. Apolinarego Kątskiego od miłośników sztuki, jako założycieli.“

Art. 5. „Zaopatrzenie potrzeb bieżących Instytutu, w okresie sześciolatnim i przygotowanie zasobów na prowadzenie nadal, polega na ofiarach prywatnych, na pomocy ze strony Rządu i na innych środkach niższej wyszczególnionych.“

Art. 6. „W celu pozyskania funduszu z ofiar prywatnych, na potrzeby w poprzednim artykule wymienione, p. Kątski obowiązany jest zebrać 120 stypendyj protektorskich, każde po rs. 300. Utworzony ztąd kapitał rs. 36,000, rozdzielony na lat sześć, wyczerpywać się będzie corocznie do wysokości 6,000 rs.“

Art. 7. „W sześć miesięcy od daty upoważnienia i zatwierdzenia przez Rząd ustawy Instytutu Muzycznego Warszawskiego, p. Kątski obowiązany jest zebrać kapitał nakładowy 7,175 rs., oraz kapitał stypendyj protektorskich w summie rs. 36,000 i do Banku Polskiego złożyć.“

Art. 8. „Skoro p. Kątski dopełni ze swjej strony zobowiązań, w poprzedzającym artykule wyszczególnionych, i złoży kwit depozytowy Banku, Rząd wyda natychmiast stosowne rozporządzenia, w celu otwarcia Instytutu Muzycznego i zapewnienia mu rocznej pomocy w pieniądzu i lokalu, o której niżej mowa.“

Art. 9. „Od daty złożenia kwitu bankowego, pozostawia się założycielowi sześć miesięcy czasu na urządzenie Instytutu.“

Art. 10. Dla uzupełnienia funduszu co rok na utrzymanie i prowadzenie Instytutu potrzebnego, a na rs. 12,460 podług przypuszczalnego etatu obliczonego, służyć mają następujące środki.

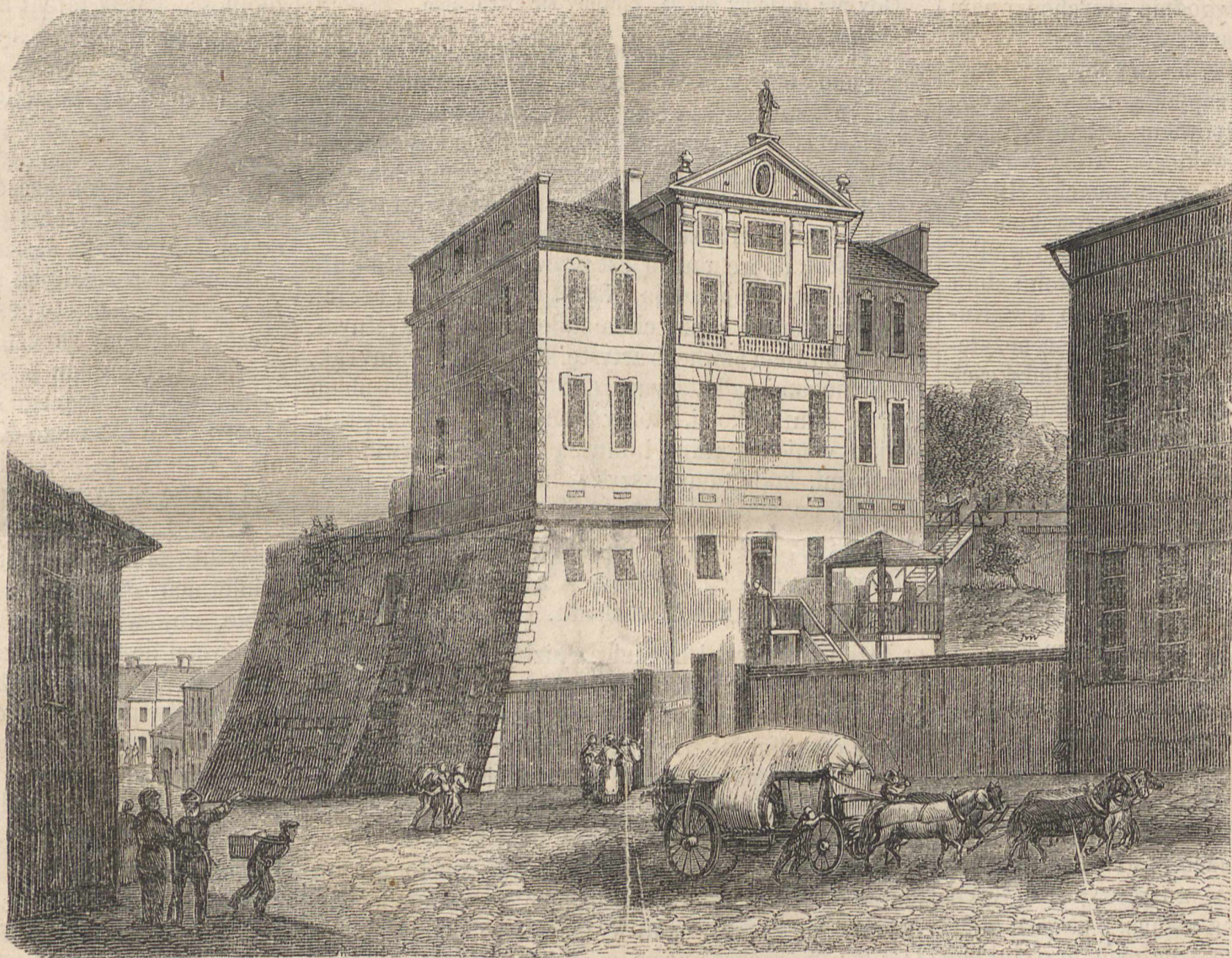
- dozwała się p. Apolinaremu Kątskiemu w ciągu pierwszych lat trzech istnienia Instytutu, zbierać stypendya protektorskie nawet nad liczbę 120 wyżej oznaczoną i niemniej przyjmować pojedyncze dary od miłośników sztuki muzycznej w kwotach niemniejszych jak rs. 25. Wpływy z tego źródła również do Banku Polskiego składane będą;
- ze względu na korzyści, jakie z założenia Instytutu Muzycznego kraj osiągnąć może, Rząd, przychodząc ze swjej strony w pomoc zamiarom założyciela, przeznaczając bezpłatnie na pomieszczenie Instytutu przez czas jego istnienia, budynki rządowe, Domem Zdrowia zwany; wydziela mu jednorazowie fundusz rsr. 1931, na przyprowadzenie tego domu do użytku odpowiedniego przeznaczeniu; przekazuje dochód z piwnic pod tą possessją znajdujących się, na pomniejsze reperacje, na opłatę podatków, assekuracją ogniową i na opał Instytutu; i nakoniec uposaża go zasiłkiem po rsr. 2000 rocznie;
- udziela się Zarządowi Instytutu Muzycznego, na cały czas istnienia jego, pozwolenie urzędzenia corocznie sześciu koncertów publicznych i t. d.
- dozwała się pobierać opłatę od uczniów nie stypendystów i wolnych słuchaczy po rs. 50 rocznie;
- zapewnia się osobny dodatek ze skarbu, gdyby Rząd, ze szczególnych względów na potrzeby posługi kościelnej w kraju, zamierzył przeznaczyć osobnych stypendystów, wyłącznie w celu kształcenia ich w klasie organów i chóralnego śpiewu.

Art. 11. Instytut Muzyczny zostawać będzie pod bezpośredniem zwierzchnictwem Kommissyi rządowej spraw wewnętrznych i duchownych.

Opuszczamy parę innych artykułów, jako też i szczegółowe zasady *Ustawy*, gdyż takowe czytelnicy znajdą w innych pismach peryodycznych. Apolinary Kątski, uzyskawszy ją, dowiódł gotowości swojej na wszelkie ofiary, do jakich tylko obywatelska gorliwość skłaniać go może; teraz oczekuje on poparcia ze strony współrodaków, na których pomocy daj Boże aby się nie zawiódł. Przykład jego powinien zachęcić innych i skłonić do stosunkowych ofiar na rzecz tak chwalebna i użyteczna dla każdego. Ta sama myśl, że przybywa dla naszej młodzieży jedno jeszcze więcej ognisko nauki, powinna wpłynąć na gorliwe współdziałanie ogółu, umiającego zapewne cenić dobrodziejstwa oświaty, w rozmaitych gałęziach wiedzy ludzkiej na kraj spływającej.

Instytut, jak to wyżej powiedzieliśmy, mieścić się będzie w gmachu rządowym przy ulicy Ordynackiej i Tamce, pospolicie domem zdrowia, lub pałacem ordynackim nazywanym. Budowla ta ma także swoje dzieje zapisane w kronice Warszawy. Pierwiastkowo miał być z niej zamek obronny, wzniesiony przez Janusza księcia ordynata Ostrogskiego na początku XVII stulecia, której to budowli ślad został dotąd w tarasie obwiedzionym murem fortecznym, ze strzelnicami zewnątrz od strony Tamki, co jest widocznym i na powyższym drzeworycie, a zdaje się być podstawą całego gmachu. Stanowi on teraz ściany piwnic obszernych, z pod pałacu niegdyś aż do ulicy Książęcej ciągnących się, w których, podług podania, jeden pułk żołnierzy się mieścił, i gdzie, wedle bardzo niedawnej legendy,

miał być ów staw, z księżniczką zaklętą w kaczkę. Zamek ten wszelako nie był dokończony, gdy po śmierci założyciela przeszedł w ręce Teodora Denhoffa podkomorzego koronnego. Od niego nabył go w r. 1681 Jan Gniński podkanclerzy koronny, który mury pozostałe przerobił na dom mieszkalny, i odtąd nazywał się pałacem murowanym Gnińskich. Potem w spadku familijnym przeszedł na własność ordynatów Zamojskich; ci w roku 1725, utworzywszy przy nim osobną miejską jurydykę, pod nazwiskiem ordynackiej lub Zamojskich, gmach jeszcze okazałej przebudowali i z przepychem ozdobili, co dało powód ustaleniu przy nim nazwiska *pałacu ordynackiego*. Po dwudziestu latach przeszedł w posiadanie rodziny Czapskich, od tych w spadku do Mielżyńskich, a od nich w roku 1775 do Chodkiewiczów. We dwa lata potem, ostatni właściciele pałac swój przeznaczili na umieszczenie w nim pensyi dla magnackiej młodzieży, którą założył sławny w swoim czasie filozof-moralista Jan Nikuta, i utrzymywał ją z nieznanym dotąd przepychem i formami do r. 1794. Po zwinięciu tego naukowego zakładu, pałac stał pustkami lub był szpitalem wojskowym, aż nakoniec w roku 1820, na publicznej licytacji, kupił go Jan Gajewski, i podzieliwszy possessją na trzy części, główną sprzedał w r. 1836 rządowi



DOM INSTYTUTU MUZYCZNEGO W WARSZAWIE.

na instytut lekarski, dla zamożniejszych chorych przeznaczony, który *Domem Zdrowia* mianowany, nadał pałacowi drugie jego dotychczasowe nazwisko. Gdy rzeczony instytut nie długo się tu utrzymał, pałac, zostawszy własnością zakładów dobroczynnych, różnemi czasy mieścił to szpital choleryczny, to instytut moralnie zaniedbanych dzieci, lub służył na schronienie dla dotkniętych powodzią nieszczęśliwych nadwiślan. Wreszcie w r. 1854 sprzedany magistratowi warszawskiemu, zostawał pod rozporządzeniem kommissyi kwaternicznej; i dopiero w roku bieżącym z łaski rządu otrzymał obecne swoje przeznaczenie. Z położenia, obszerności i stanu budowli, nie można było stosowniejszego wybrać miejsca; silne są jego mury, gruntowne fundamenta, dobra to więc wróżba dla przyszłego muzycznego zakładu. Bodajby losy jego były równie trwałe, jak ten gmach historyczny.

#### PRZENIESIENIE RELIKWIJ świętego Wiktora Męczennika.

Dzień 5 czerwca r. b. naznaczonym został w historii miasta naszego pamiętną uroczystością, która w przyszłości świadczyć będzie o stanie religijnego życia społeczeństwa naszego. Uroczystością tą było

przeniesienie relikwii św. Wiktora Męczennika, wydobytych z katakumb Pretextata w Rzymie d. 20 stycznia 1848r., a przez Ojca św. darowanych kościołowi katedralnemu podlaskiemu w Janowie. Święte te relikwie, z zachowaniem zwykłych w takich razach ostrożności, przewiezione przez jedną ze znakomitych rodzin polskich do Warszawy, złożone zostały w kościele oo. kapucynów, z kąd odbyć się miało uroczyste ich przeniesienie. Uroczystość rozpoczęła się w sobotę dnia 4 czerwca solennymi nieszporami, odprawionymi przez Jego Ekscellencyą biskupa podlaskiego. Następnego dnia, w niedzielę, celebrował Najdostojniejszy Arcy-Pasterz Metropolita Warszawski. Nabożeństwo rozpoczęło się od rana; większa część ulicy Miodowej była już wtedy zapełniona wiernymi, a z każdą chwilą mnożył się lud, tak, iż pod koniec mszy wielkiej nietylko ulica Miodowa, ale i jej przyległe, któremi miała przechodzić processya, były zapełnione. Do takiej liczby zgromadzonych przemówienie nawet z ganku przedkościelnego było niedostateczne; powiedziane też z tamtąd kazanie zaledwie cząstka wierznych słyszeć mogła, jakkolwiek o. Bronisław kapucyn donośnym wypowiedział je głosem; ale żywe słowo czynu, wystawienie świętych szczątek bohatera wiary, silnie przemówiło do zebranego ludu, bo po wyniesieniu z kościoła tych świętych relikwii, uchyliły się w głębokim wzruszeniu wszystkich czoła, i z tysiąca piersi wiarą rozgrzanych zabrzmiała pieśń na cześć świętego.

Po błogosławieństwie, danem przez Najdostojniejszego Arcy-Pasterza z ganku kościelnego, rozpoczęła się processya. Pochód otwierały bractwa, za nimi postępowały zakony, alumnii obu seminariów warszawskich i akademii duchownej, duchowieństwo parafialne, rektor wraz z profesorami akademii, wreszcie kanonicy kapituły metropolitalnej. Po za tym licznym orszakiem duchowieństwa kapłani w dalmatykach nieśli ozdobną trumienkę zawierającą relikwie. Obok postępowała czwórka biskupi, na tę uroczystość zebrani: biskup podlaski JW. ks. Benjamin Szymański, którego staraniu i trudom zawdzięczamy głównie urządzenie tego obrzędu, suffragan warszawski JW. ks. Jan Dekert, suffragan

podlaski JW. ks. Twarowski i suffragan łowicki JW. ks. Henryk hrabia Plater. Za relikwiami, otoczony duchowieństwem, szedł pod baldachimem celebrujący Arcy-Pasterz. Po za wszystkimi ciągnął wytwornie przybrany wóz sześciokonny, przeznaczony do przewiezienia św. relikwii od rogatek moskiewskich do Janowa.

Niczego nie pominięto, coby podnieść mogło świętność obrzędu i przyczynić się do oddania czci pamięci świętego; ale najuroczystszą częścią processyi, jej duszą, była wiara zebranego ludu. Wiara ta wybijiała widocznie, to w oczach ze łzami pobożnego rozrzwennienia zwróconych ku małej trumience, kryjącej kości święte, to w licznych, głębokich westchnieniach, to wreszcie w tłoku nawet samym i pchaniu się ku świętym relikwiom; bo każdy chciał choć zdaleka je ujrzeć, a radość tych, co mogli dotknąć noszy na których spoczywała trumienka, była wielka.

Z przybyciem też processyi do rogatek moskiewskich nie zakończyła się świętność obrzędu, owszem cały tydzień droga do Janowa była ciągłym tryumfalnym pochodem. Tysiące ludu zbiegało się na miejsca, któremi miał przechodzić wóz ze świętymi szczątkami, a wszędzie z tym samym zapalem, z tą samą wiarą.

Jak przed siedmiu blisko wiekami (r. 1183) lud nasz z gorącym umiesieniem witał kości świętego żołnierza i męczennika Floryana, tak i teraz z tym sa-

mém uczuciem tłumnie się zbiegł, by nowe szczątki męczeńskie przyjąć na swoje ziemię. Po tylu więc wiekach, po tylu przebytych kolejach, pomimo różnych wpływów przenoszących z obczyzny na ziemię naszą fałsz, zepsucie i obojętność religijną; naród nasz zachował nienaruszonym skarb swój najdroższy, wiarę; uroczystość przeniesienia relikwii św. Wiktora pozostanie tego dowodem choć nie jedynym, lecz jednym z najoczywistszych.

trochę przypomina mało zmienione Stare miasto, a przybiera kosmopolityczny charakter dzisiejszych miast zagranicznych.

Warszawa kwitnie! oto wykrzyknik z tysiąca ust słyszany; i rzeczywiście z widoku tylu świeżych domów i tylu parkanów osłaniających wznoszące się budowle, wnioskowaćby należało że Warszawa kwitnie na prawdę. W ulicach których nazwiska zaledwie wczoraj były komu wiadome, dziś już obustronnie dwupiętrowe wyrosły kamienice; grunta na których lat te-

dzińca, wygodnych i jasnych schodów, a nawet już pytamy o gaz i wodociągi, i bodaj czy choć jeden z wielbicieli dawnego pozoru stolicy mieszka jeszcze w obrębie Starego miasta.

Żądania mieszkańców wyrodziły oczywiście potrzebę stawiania nowych, odpowiednich dzisiejszym wymaganiom kamienic. Z wielką też skwapliwością rzucano się do budowania, by odpowiedzieć i nastarczyć gwałtownemu prądowi lokatorów, płynącemu ze wschodu i północy, na zachód i południe. W lat kilkanaście



PRZENIESIENIE RELIKWIJ Śgo WIKTORA MĘCZENNIKA.

## KRONIKA SZTUK PIĘKNYCH.

### ARCHITEKTURA.

Warszawa w ostatnich latach pospiesznie zabudowuje się mnóstwem domów nowych, wypełnia coraz gęściej odłogi leżące place, przeistacza dawne domy, wylamując setki nowych, coraz to powabniejszych sklepów, słowem Warszawa widocznie zmienia postać ubiegłych swych czasów, którą nam jeszcze po-

mu kilka spokojnie dojrzewały owoce i jarzyny, a gdzie-niegdzie tylko przeświecały drobne wiejskie dworki, teraz, rozkrojone na possessye, dźwigają murowane domy i pałacyki.

Niemaló znaleźlibyśmy ludzi żałujących znikającej bezpowrotnie fizygnomii, jaką miała Warszawa sto, dwieście lat temu; nieraz sami ulegaliśmy dziwnym marzeniom, wśród ciasnych i ciemnych uliczek, wśród wązkich, wysokich domów i historycznego błota. Ale i cóż pomoże ów plac archeologiczny? Wszyscy szukamy mieszkania na szerokiej ulicy, obszernego dzie-

środek miasta przeniósł się od Zygmuntovej kolumny na plac Saski.

Budowanie to, wbrew rosnącym bezustannie cenom wszystkich materyałów i płacom robotników, mogło się wydawać poprostu manią właścicieli; wysoka jednak cena mieszkań, domów i placów naprowadza na wniosek, że stosunkowo mniej wzniesiono domów, aniżeli wzniesłoby ich potrzeba.

Wzrost zatem miasta jest widoczny; czyżby więc kto wątpić jeszcze zechciał że Warszawa kwitnie? Bądź

co bądź, faktem jest że Warszawa się buduje; badamy więc *jak* się buduje, jak kwitnie architektura.

Szczęśliwsza od siostr swoich, od malarstwa irzeby, architektura ma tę wielką wyższość nad nimi, że nie urojone jest pole jej rozwoju, że ma u nas rzeczywistość, dotykającą ważność; słowem, ona jedna ze sztuk pięknych jest niezbędną.

Pomimo jednak niektórych miejscowych, szczególnych potrzeb naszych, architektura nie zdobyła sobie odrębnego typu w najświetniejszej nawet epoce naszej historii. Tak jak i inne sztuki piękne, wstępowała ona i wstępowała jeszcze władzy architektury włoskiej, niemieckiej, francuskiej, stosowała formy wyrobione za granicą, do potrzeb własnych. Architekci często u nas bywali cudzoziemcami, a rodacy kształcili się po największej części w obcych krajach.

Przez kilka wieków zupełną uzyskał przewagę styl włoski, jemu też winniśmy największą liczbę naszych pomników. Żałować jednak przychodzi, że nadzwyczaj rzadko styl ten przedstawia się nam w najświetniejszej swjej czystości. Głównie u nas na nieszczęście zapanował styl *barocco*, styl upadającej architektury, pełen dziwaczności, nie dającej się usprawiedliwić choćby i największym talentem artysty.

Dziś źródło z którego czerpali ojcowie nasi opuszczonem zostało; miejsce Rzymu, Florencji, Wenecji, zastępują Berlin, Monachium i Paryż.

Nie bez przyczyny na czele stawiamy tu stolicę pruską i bawarską, i nie bez żalu przychodzi nam wyrzec, że coraz wyraźniej wkradać się u nas zaczyna, coraz silniej zakorzenia się, styl niemieckiej dzisiejszej architektury. Czy to blizkie sąsiedztwo tego plemienia, podobieństwo potrzeb i klimatu, czy rozślawiona przez samych Niemców praktyczność ich nowego stylu, czy wreszcie samo wykonanie, tak staranne i czyste, wywarło tyle wpływu na nasze umysły? Bo nie pojmujemy, by mogło być jakie spokrewnienie w uczuciach i pojmowaniu piękna dwóch narodów tak różnych od siebie duchem. Wreszcie wpływ niemieckiego ideału możeby dał się usprawiedliwić po części, gdyby ideał ten wyrósł był wprost z uczucia. Ale wrażenie jakie na nas czynią ich dzieła dzisiejsze architektoniczne, upewnia nas ciągle, że ideał ich piękna jest rezultatem rozumowych badań, pracowitego wyrachowania, troskliwego zastanawiania się nad duchem czasu. Doprowadziło to wielu Niemców do szukania nowości, do zerwania z wszelką tradycją, i dziś opanowało ich szczere przekonanie, że stworzyli styl nowy w sztukach, który prędzej lub później zawładną musi światem cywilizowanym. Zdawałoby się nawet że nie spostrzegają sami, jak pozorną jest ta nowość ich utworów. Wszakże nietrudno dopatrzeć się tam móżolnej chęci zlania nieledwie że wszystkich znanych stylów. W jednej budowli nieraz znajdziemy parter podzielony w poważne florenckie bonie, okna zdobne w byzantyjskie, kręcone kolumnienki i rodzaj frontonu w kształcie wieka sarkofagu greckiego; dach znowu, jeżeli nie jest wsparty na gzymsie pełnym wyglądających główek w stylu francuskim odrodzenia, to natomiast łamie się w strome i kolczate szczyty gotyckie.

Zespolenie tak różnorodnych żywiołów, jest względnie zasługą pracowitych zwolenników nowej szkoły, którzy właściwą sobie manierą rysując i wykonywając wszystkie części, ze szkoda wprowadzili charakterystyki każdego stylu, przyprowadzając ten chaos do pewnej harmonii.

Nie sądzimy, aby pociąg wielu dzisiejszych artystów do nowości, szczęśliwszych doczekał się rezultatów w Paryżu, i dziwna rzecz: naród tak słuszną mający sławę szykownego wykonania swych utworów i wyrobów, znalazł u siebie architektów prawdziwą obdarzonych zdolnością, którzy mając na myśli surowość najdawniejszych greckich arcydzieł, starają się wprowadzić rodzaj dobrowolnego i umyślnego niedoświetła, jakie charakteryzuje dzieła narodu mającego z czasem dopiero dojść do doskonałości. W ozdobach coraz bardziej wchodzi w użycie rzeźbienie ich wklęsłe, jak w pieczęciach; profile gzymsów mają jakąś umyślną niezgrabność i chudość; liście akantu lub woluty jońskie chcą przypominać czasy Pizystrata. Jakżeż tu pogodzić ponury pozór stylu Greków i Etrusków, z żywym, ruchliwym temperamentem i naturalną elegancją Francuzów? Czyż zewnętrzna powłoka domów takich może odpowiadać wewnętrznemu przyozdobieniu ich mieszkań i sklepów w stylu Ludwika XV i XVI? Dlaczego wreszcie porzucili ci

artyści nagle tradycyjny styl własny odrodzenia, tak giętki i powabny?

Mówimy tu ciągle o tych jedynie artystach, którzy z zapałem szczerem, godnym lepszego losu, usilnie propagują nowy swój styl, a raczej manierę wymuszoną i pretensjonalną. Nie dotknęliśmy tu bynajmniej prawdziwych architektów, którzy w naszych czasach pomnikowe postawili dzieła, godne dzisiejszej oświaty, a piękne po wszystkie wieki. Nie troszczyli się oni o poklask niewiele jeszcze pojmującej, a chciwej świeżych wrażeń publiczności.

I nie rozwodzilibyśmy się tak obszernie nad nowo wynalezioną architekturą, gdyby tysiące dzieł świeżych nie rozpowszechniało jej po całym świecie. Architektoniczne albumy i szkicenbuchy, francuskie specjalne peryodyczne dzieła, pełne delikatnego wykończenia i chromolitograficznego powabu, dość szybko przecisnęły się do nas i wydały już niemało owoców.

Nie tak nam jeszcze ciasno w Warszawie, abyśmy już musieli, jak Francuzi, na szóste wdrapywać się piętro, i w pięciołokciowym bawić się salonie. Gęstość otworów, niezliczone balkony i niezbędne mansardy (a te ostatnie już gnieździć się zaczynają w naszych dachach), nie dadzą się pogodzić z ostremi mrozami i palącym słońcem. Nie powinniśmy się zatem obawiać zaszczepienia między nami dzisiejszej francuskiej architektury; głównie u nas rozgłaszcza się styl nowo-niemiecki, jako lepiej odpowiadający klimatowi i potrzebom naszym.

Wprawdzie nam, nie mającym własnej, tradycyjnej architektury, ani powszechnie a trwale ugruntowanego o niej pojęcia, nietrudno było zaimponować nowością, chociażby i pozorną; a jeżeli Niemcom i Francuzom, w dzisiejszej epoce powszechnego wahania się, nie można mieć za złe, że błędząc szukają rozwiązania tylu nowych kwestyj w sztuce budowania, o ileż więcej nam, pozbawionym skarbów i arcydzieł sztuki, pobłażać należy, że skwapliwie chwytni i rozkrzewiamy to, co za ideał piękna uznanem zostało przez tylu artystów i nierównie więcej profanów, w tak bogato uposażonej obczyźnie?

Niejeden z czytelników, odgadując już przekonania nasze, zechce nas zapewne pomówić o stronność dla klasycyzmu w sztukach. Należałoby jednak poprzednio porozumieć się, co właściwie znaczy to określenie? Bo nieraz zdarzało się nam słyszeć, że pałace prymasowski i saski, kommissya skarbu, ujeżdżalnia na Królewskiej ulicy, ba nawet rogatki Warszawy, przedstawiają nam styl klasyczny. Słowem gdzie tylko widzimy kolumny, a do tego jeszcze niepotrzebne, tam bez kwestji znajdziemy idealną piękność. Nie można się dziwić, jeżeli taki rodzaj klasycyzmu nudzić nas już zaczynał, a ciągle nadużycie *porządków* sprawiło reakcją i upoważniło wprowadzanie *nieporządków*. W przekonaniu naszym te tylko dzieła klasycznymi nazwane być powinny, które noszą na sobie piętno nieśmiertelnej piękności; a na zasadzie tego przekonania postaramy się w przyszłości ocenić nowe budowle, jakimi stolica nasza w ostatnich latach wzbogacać została.

## WYJĄTEK Z SZÓSTÉJ PIEŚNI POEMATU

pod tytułem:

### PAN FORTUNAT,

przez

JÓZEFA KORZENIOWSKIEGO.

Dwór to był stary, ale okazały.  
Na lewój stronie państwo zamieszkali.  
Z prawój komnaty przodków pustką stały,  
Gdzie, jak mówiono, schadzki swe miewali.  
Oba mieszkania sienie przegradzały.  
Tam słudzy w karty i w warcaby grali,  
Nim do posługi byli powołani  
Rozkazem pana, albo dzwonkiem pani.

Na lewój stronie wszystko lekkie było,  
Świetne i wątłe, jak dziś każe moda.  
Wszystko z dalekich krajów pochodziło;  
Każdą rzecz wiozła para, albo woda.

Wszędzie lśnił jedwab' i złoto świeciło.  
W zwierciadłach mogła przejrzeć się uroda  
Nadobnej pani, której drobne nogi,  
Nie dotykały nigdzie do podłogi.

Na prawej wszystko proste i surowe,  
Silne i ciężkie, jak obyczaj stary:  
Wysokie krzesła i stoły dębowe;  
Przy wielkiem łożu żelazne kotary;  
Czarnych kominów gzymsy marmurowe;  
Szafki z hebanu i z bronzu zegary;  
Szybki niewielkie i na ołów brane,  
A w adamaszek ściany przyodziane.

Dwie wielkie sale od dziedzina były,  
I w obu niegdyś huczały wiwaty.  
Tam za stołami rżędem się iskrzyły  
Marsowe twarze i ozdobne szaty.  
Wiele odwagi, wiele było siły  
W tych śmiałych piersiach niepożytych laty.  
Prawda, niemało się tam wina łało,  
Ale w potrzebie szło i krwi niemało.

Daléj niewielkie leżały pokoje,  
Gdzie się tały dawnych matron cnoty.  
Tam małżonkowie sypiali oboje;  
Tam chłopczyk robił łuki, ostrzył groty;  
Tam matka, ucząc pacierza dziewoje,  
Zbierała dla nich perły i klejnoty;  
Tam była miłość, pokój był domowy,  
I wszystko jednéj tam słuchoło głowy.

Teraz milczenie mieszka w tym przybytku,  
Chociaż sprzęt każdy po dawnemu stoi.  
Pani się w nowym rokoszuje zbytku,  
A jednak starych gratów tknąć się boi.  
I przez cześć jakąś, i że z nich pożytku  
Miéćby nie mogła w gotowalni swojej.  
Niekiedy tylko gości tam prowadzi,  
Co starym latom przypatrzeć się radzi.

I właśnie dzisiaj były imieniny  
Nadobnej miejsca tego właścicielki.  
Mnóstwo się osób zbiegło w odwiedziny;  
W starych komnatach zebrał się tłum wielki.  
Były tam księżne, były i hrabiny,  
I urzędniczki i obywatelki;  
Nie żalowali dalszej nawet jazdy  
Różni panowie z gwiazdą i bez gwiazdy.

Wszyscy za piękną idą gospodynią  
I oglądają staroświeckie sprzęty.  
Damy uwagi po francuzku czynią.  
Szlachcianki milczą, i jakiś strach święty  
Trwoży je. Im się zdaje, że świątynią  
Zwidzają, gdzie są godne czci ich szczęty.  
Niejedna nawet, powstrzymując kroku,  
Patrzy pobożnie i ma lżę na oku.

Kiedy już wszystkie obeszli komnaty,  
I żartobliwie z sobą rozmawiali,  
Podnieśli oczy na twarze i szaty  
Portretów, które tam wisiały w sali.  
Były to wszystko pani antenaty:  
Senatorowie w sukienkach ze stali,  
Biskupi w myckach, co im kryły skronie,  
Zacne matrony w perłach i robronie.

Lecz dziwny jakiś wyraz był tych twarzy:  
Téj czoło gniewne, tych się jezą wąsy.  
Gościom się zdało, że się wzrok ich żarzy,  
Każdy na ustach czytał jakieś dąsy.  
I jak w kompanii nieraz się wydarzy,  
Że raptem scichną żarty i przekąsy,  
Tak i tu wszyscy umilkli zdziwieni,  
I poglądali ku blizkiej już sieni.

A wtedy pani z humorem im powie:  
„Cóż się to stało, moi goście mili,  
Żeście w wesołej ucihli rozmowie  
I wszyscy nagle się zastanowili?  
Czy was uderza to, że ci przodkowie  
Mojego rodu tak ubogo żyli?  
Że tu nic zbytku, mało do wygody,  
I żadnych śladów gustu, ani mody?“

„Widać, na owe czasy tylko tyle  
Potrzeba było ludziom tym z żelaza.  
Dąb odpowiadał gniewom ich i sile;  
Mniej na nim widna była szabel skaza,  
Kiedy przy uczcie zdarzyły się chwile,  
Że je dobyło wino lub uraza;  
Kiedy za tarczę śród kłótni i wrzawy  
Służyły krzesła i te ciężkie ławy.“

„Na twardym siodle gdy się nasiedzieli,  
I mir zakończył boje i pogonie,  
Na aksamicie usiąść nie umieli.  
Gięło się wszystko wąż, co w swe dłonie,  
Do rękoiści przyuczone, wzięli.  
I z hełmów groźne obnażywszy skronie,  
Gdy na łosiowej skórze je składali,  
Lepiej podobno, niż my dzisiaj spali.“

„Matrony także położyć nie śmiały  
Miękkich kobierców pod niewieście nogi.  
Mąż w domu rządził, nie one władowały;  
Aż mężczyźni twardy był i srogi.  
Od sreber stoły jego się zginały,  
Na rzedach lubił złoto, kamień drogi;  
Żony nie stroiły, chociaż była młoda,  
Chcąc by świeciła cnotą i urodą.“

„A gdy bogate w dom wносиła wiano,  
A z niem koronki, perły, zausznice,  
Milczał, gdy strojnie była przyodziana,  
Lecz chętniej patrzył w jej nadobne lice,  
I nie pozwalał, aby twarz rumiana  
Zwędziły tańce i balowe świece;  
By od mahoni i od gobelinów  
Rozmiękło serce matki jego synów.“

„Ztąd pewna jestem, że i na nas za to  
Gdzieś tam za grobem gniewają się srodze,  
Że nam za zimnym jest ojczyzny lato,  
Że śnieg doskwiera naszej miękkiej nodze;  
Że tak pajęczą stroimy się szatą,  
I nie umiemy chodzić po podłodze;  
Że nam do każdej uczty i ochoty  
Potrzeba kwiatków, gazy i pozłoty.“

„Mówią też ludzie, że tu dzisiaj właśnie,  
W dniu mych imienin, w dniu świętej Barbary,  
Gdy wszelkie światło z tamtej strony zgaśnie,  
Nagle oświeca się przybytek stary.  
I dziwnym ogniem gdy zagore jasnie,  
Schodzą się z grobów postrojone mary,  
A ci z portretów do nich występują  
I razem z sobą radzą i uczują.“

„Czy to jest prawda, czy to gadka gminna,  
Nie wiem, i sprawdzać rzeczy tej nie śmiałam.  
Zresztą majętność ojca mego inna  
Jest ztąd daleko. Tam się wychowałam.  
Gdy za mąż poszła, chociaż to dziecinna  
Powieść, a jednak trochę się jej bałam;  
I imieniny moje, przy tej trwodze,  
Raz pierwszy dzisiaj w domu tym obchodzę.“

„I może dzisiaj — dodała z uśmiechem,  
Zasięda starzy do uczty i rady.  
Myśmy niejednym zawinili grzechem;  
Nie idziem przez nich ubitemi ślady;  
Wszystko co obce, chwytny z pośpiechem:  
Mowę, obyczaj, stroje i biesiady.  
Stare ich cnoty jakoś w nas się starły;  
Wnuki olbrzymów, wyszliśmy na karły.“

„Otóż jeżeli właśnie dzień dzisiejszy  
Na ten sąd o nas przez nich naznaczony,  
Cicho zajmijmy pokój najciemniejszy  
I zaczekajmy na nich z tamtej strony;  
A który z panów tu najodważniejszy,  
W jednej z tych komnat niechaj zaczajony  
Siądzie, i śmiało, i nie tracąc ducha,  
Skoro przybędą, rozmów ich wysłucha.“

„I potem wszystko niechaj nam opowie,  
Co o nas sądzą, za co się gniewają.  
Dziwna jest siła w tym potężnym słowie,  
Choć niemem, którym do nas przemawiają  
Ze swych grobowców starzy pradziadowie,  
Gdy granitowym okiem nas ścigają,

Gdy na kamienną dłoń wsparłszy głowę,  
Wymówki niby czynią nam surowe“.

„Wprawdzie wyszedłszy za świątyni progi,  
Zapominamy, co ów pomnik niemy  
Mówił. Daremne jego są przestrogi,  
Bo tylko w sercu głucho je słyszemy.  
Więc z błędnej naszej nie schodzimy drogi,  
I po swojemu czynim i żyjemy;  
Lecz gdy nam wskażą, gdzie są nasze plamy,  
Może odważnie obmyć je zdołamy“.

Gdy takie słowa i w tak dziwnym tonie  
Wyrzekła, niby seryo, niby żartem,  
Wszyscy się dziwią, z kąd w tym miękkim łonie  
Serce tak nagłym uderzyło hartem;  
Dlaczego staje w dawnych cnot obronie  
Zbytńca, z czołem pięknym, lecz nadtartem,  
Której wykwiłtne życie było znane  
I obyczaj dobrze podejrzane.

Ona tymczasem wzrok swój czarujący  
Po twarzach mężczyzn zalegnionych toczy;  
Lecz każdy z panów, chcący czy niechcący,  
Gdzieindziej niby swe obraca oczy.  
W starszych wyraźnie duch upada drżący,  
Z pomiędzy młodszych także nikt ochoczy  
Nie występuje, by podzielić śmiało  
Z przodkami ucztę groźną i wspaniałą.

A wtedy ona takie słowa doda,  
Ściągnawszy usta w minkę uragliwą:  
„Nieprędko jeszcze filozofii moda  
Wytępi w sercach naszych wiarę żywą.  
Znak to jest dobry. I byłaby szkoda  
Na próbę taką, może nieszczęśliwą,  
Narażać mężnych, którzy jeszcze wierzą  
W sąd i powagę tych, co w grobach leżą.“

„Cieszę się zatem, że tu nikt z ochotą  
Nie daje memi skłonić się słowami.  
Łatwo się z mężką popisywać cnotą  
W dzień i z żywymi nieprzyjaciółami;  
Lecz o północy zamknąć się tu po to,  
Ażebym zasiąść między skieletami,  
I zawtórować w ich grobowe trele,  
To już doprawdy byłoby za wiele.“

„Bo któż wie, jakie są ich pieśni tony,  
Jakiemi groźby gniewy ich zawarczą,  
Gdy który z panów, zwłaszcza zaszczycony  
Starą imieniem i herbową tarczą,  
Stanie przed nimi wonny, utrefiony?  
Zasługi takie pewnie nie wystarczą;  
A cóżbyście im odpowiedzieć mieli,  
Gdyby o inne was zapytać chcieli?“

„Dajmy więc pokój niewczesnej śmiałości,  
Zostawmy w ciszy te zbutwiałe mury.  
Gdyby wszelako który z moich gości,  
Co sobie tylko wszystko winien, który  
Niema na siebie zagniewanych gości,  
Co dziś opuszczają grobów swych marmury,  
Chciał się poświęcić, i został tu śmiało,  
Przysługę wszystkim oddałby niemałą.“

„Bo jeśli przyjdą, nie miałby powodu  
Bać się, by wyrok dali nań surowy.  
Rzekłby im owszem: chcecie li dowodu,  
Żem do zasługi chętny i gotowy,  
Patrzcie, ja jestem pierwszym z mego rodu;  
Wyszedłem z chaty nagi, dziś krociowy  
Pan, swym przemysłem, pracą i rzemiosłem  
Do towarzystwa panów się podniosłem.“

„I kiedy oni stanąć tu nie śmieli,  
Ja, jako poseł, od nich tu przychodzę.  
Niezmierzony przedział już ich od was dzieli;  
Małości swojej wstydzą się dziś srodze.  
Na inną drogę wejśćby już pragnęli.  
Więc im pokażcie, po jakiej iść drodze  
Mają, i jakie mają być ich sprawy,  
Aby godnymi byli waszej sławy.“

„Jeśli nie przyjdą — śmiejąc się dopowie,  
Będziemy mieli dowód oczywisty,

Że przeszłość jest marzeniem, że przodkowie  
Poszli pod marmur na sen wiekuisty;  
Teraźniejszości władcy i panowie,  
Spojrzym wesoło w nasz horyzont czysty,  
I zapomniawszy o umarłej sławie,  
Oddamy żywot zbytkom i zabawie.“

(Dokończenie w następnym numerze.)



*Panu Wacławowi R. w Warszawie.* Uwagi pańskie o najszej óperze i jednej z młodych debiutantek niezupełnie trafiają do przekonania redakcyi. Zresztą sprawozdawca nasz muzyczny objawił już w tym względzie zdanie przeciwne.

*Panu Leonowi M. w Warszawie.* Komedya wiadoma każdego czasu odebrana być może w redakcyi Tygodnika. Nadesłane zadania konikowe, rebus i szkice uważamy za niestosowne dla naszego pisma.

*Panu W. K. w Warszawie.* Układ o artykuły żadną miarą nastąpić nie może przed ocenieniem ich wartości.

*Panu X w Rozcieszynie.* Nadesłanego zadania konikowego drukować nie możemy, z powodu że w ostatnim jego wierszu brakuje jednej zgłoski. Prosimy jednak o podobne, byle tylko nie zawierały zbyt gorących, a niezasłużonych jeszcze pochwał dla naszego Tygodnika.

*Panu L. S. w X.* Przesłany wierszyk wiele ma wdzięku. Radzilibyśmy jednak panu porzucić poezję erotyczną, a sił swych doświadczyć w kierunku poważniejszym.

## Przegląd teatralny.

*Kopiista, obrazek dramatyczny Henryka Meilhac.*

Słusznie utwór ten obrazkiem nazwany został, nie można go bowiem ani komedya, ani też dramatem mianować, jakkolwiek jedno z najwyższych, najsilniejszych uczuć, miłość ojca dla córki, stanowi jego podstawę. Intrygi w nim prawie żadnej, akcja bardzo ograniczona, pomimo to wszakże całość nader jest zajmująca. Przed laty dwudziestu mieszkał na przedmieściu Paryża krawiec nazwiskiem Parnet, którego całym bogactwem była żona piękna i młoda, imaleńka córeczka; wkrótce jednak te skarby postradał. Bogaty panicz, ujęty wdziękami krawcowej, często pod pozorem obstarunków nawidzał jego pracownię. Płochą Małgosia uległa manewrom rozpustnika, uciekla z nim i zabrała dziecko. Po latach dwunastu Parnet odebrał list z Włoch od żony umierającej, i ztąd dowiedział się tylko że córka jego w Paryżu i że jest podobną do matki. Biedny krawiec porzucił igłę i wziął się do przepisywania. Odtąd żył tylko myślą wynalezienia swego dziecka, chodził po bulwarach, czekał u bram teatralnych, aż pewnego dnia usłyszał głos, ujrzał postać swjej żony: była to Julia, artystka dramatyczna; to samo imię nosiła jego córka. Był prawie pewnym że ona jest jego dzieckiem, nie rzucił się jednak w jej objęcia, nie zawołał: córko! Lękał się bowiem żeby go nie odepchnęła z szyderstwem, żeby go się nie zaparła, albo przyznając mu to słodkie miano ojca, nie straciła go do tej przykrzej, ponizającej roli, jaką często rodzice artystek przy nich odgrywają. Dostę mu było śledzić jej kroki zdaleka, jak wychodziła z domu lub wracała; cieszył się jej widokiem na scenie. Parnet przepisywał prace Leona, autora dramatycznego. Przyniósł mu właśnie ostatnią jego komedya, w której znalazł scenę o jakiej życie całe marzył; córka bowiem spotyka ojca po kilkunastu latach rozłączenia i rzuca mu się w objęcia, wołając: „o mój ojeze!“ Zwraca uwagę Leona, że na odegraniu tej sceny, na wymówieniu tych wyrazów zależy powodzenie sztuki. Zdanie to utwierdza Leona w zamiarze odjęcia tej roli artystce, która na próbie źle się z nią wywiązała. Lecz tą artystką była Julia; dowiaduje się o tym Parnet i błaga Leona, aby zaniechał swego zamiaru. Wtém zjawia się Julia, aby wystudyować u Leona swoje rolę i powtórzyć próbę. Artysta co miał odegrać ojca przybyć nie może, miejsce jego zastępuje kopiista. Zwierzył się już był Leonowi z powodów wzruszenia swego na widok Julii, wypowiedział dlaczego obspypywał pocałunkami porzuconą przez nią szatę, dła-

## ZAMEK KAMIENIEC

w Szląsku pruskim.

go narażając się na głód, posyłał jej bukiety. Kopista na prawdę przejął się rolą. Julia źle jeszcze wymawia „mój ojciec“, ale kiedy Parnet, zmieniając niektóre ustępy roli, przypomina jej okoliczności lat dziecińczych, wtedy poznaje ojca, rzuca mu się w objęcia, wymawiając z porywającą prawdą: „Ach mój ojciec“, i zasłona spada.

Sztuka ta napisana z prawdziwym talentem; nie ma w niej wyrazu napróżno powiedzianego. Ujęta w szczupłe ramy, nie grzeszy nigdzie przesadą i kończy się w samą porę; jedna scena z kilkunastą wyrazami więcej mogłaby ją wtłoczyć w nudną sentymentalność. Szczegółowa krytyka gry artystów przechodzi nasze założenie; przyjęliśmy obojętnie zdawać sprawę z każdej nowej sztuki, ale nie radziłyśmy figurować w poważnym aeropagu sędziów teatralnych. Trudno jednak zamieścić, że p. Rychter i panna Palińska wywiązali się w zupełności z ról ojca i córki, a jeśli znalazły się jakie usterki, w głównej i ostatniej scenie, nie możemy ich wytykać, bo wiemy jak przy zupełnym przejściu się rolą trudno jest panować nad głosem, tak aby cieniowaniem jego odznaczyć ustępy sztuki powtarzanej przed Leonem, od tych jakie aktorowie mówią do siebie. Pan Trapszo, choć nad swoją rolą nie potrzebował tyle pracy, mógł być jednak dołożyć więcej nad nią starania. Postacie Edmunda, wielbiciela Julii, i Józefa lokaja, nie mają żadnego wpływu na sztukę i są widocznie dodane dla ubarwienia obrazu pewną komicznością; pp. Wilkoszewski i Damsa odpowiedzieli w tym względzie założeniu autora.



ZAMEK KAMIENIEC W SZŁĄSKU PRUSKIM.

platanie są dolinami świeżej i bujnej zieloności, to upiększona gustownym otoczeniem gajków i kłębów, muraw i trawników, strumykami opasanych lub przerzniętych. Kawaleczek ten ziemi szląskiej, wygląda jak wielki ogród, a oko z zachwyceniem patrzy na falujące łąki, na drzewa w różnych przedstawiających się odcieniach, na łąki przepysznej barwy i na srebrzystą wstęgę wązkiej jeszcze Nissy, wijącej się między niemi.

Wśród miłego tego ustronia, objętego ku południowo-zachodniej stronie pasmem skał, nad którym sterczy olbrzymi czworobok tak zwaną „Heuscheuer“, ku północno-wschodniej zaś równiną, rozszerzającą się wzdłuż gór jakby mglistą zasłoną pokrytych, wznosi się na odrębnie stojącym pagórku, całkiem obrośniętym, wspaniały pałac księżny Albrechtowej pruskiej, wybudowany podług planu Martiusa, wspieranego przy tej robocie przez sławnego Schinkla, który też wyszukał i oznaczył punkt ten precyzyjny. Gmach, stylu staro-gotyckiego, zbudowany z ciosowego kamienia wylamanego ze skały na której stoi, ozdobiony jest czterema większymi wieżami, tudzież sześcioma mniejszymi, nad murem naokoło spoczywającymi, zawiera do stu okazale urządzonych pokojów i sal, a otoczony jest parkiem obszernym i gustownym.

Miejsce to, które i natura i sztuka ozdobiły z widocznym upodobaniem, nie jest też bez znaczenia i w dziejach, a znakomici kronikarze polscy i czescy, jak: Długosz, Kosmas i Hagek, nieraz o nim wspominają. Podług nich Brzetysław II, książę czeski, żyjący w sporach z Władysławem I królem polskim, a z powodu tego napadający Szląsk sąsiedni w latach 1094 i 1096, przy wkroczeniu zatrzymał się na brzegach Nissy, niedaleko Warty, w miejscu dziś jeszcze słynnym z powodu cudownego obrazu tam znajdującego się, do którego rok rocznie lud pobożny procesją płynie. Po prawej stronie wspomnianej rzeki trafił na starą twierdzę polską Bardum, także Bardo, Byr-

do lub Byrde zwaną, wznoszącą się na górze kaplicznej czyli zamkowej, a wybudowaną w X lub XI stuleciu, celem obronienia granicy od napadu Czechów. Nie znalazłszy w niej załogi, kazał ją podpalić i zburzyć, a następnie z wojskiem swoim ruszył aż do Odry, zostawiając wszędzie ślady zniszczenia. Ażeby zaś, w razie cofnięcia się, nad granicą miał pewny, bezpieczny punkt oparcia, w 1096 roku, o milę poniżej zwalonej twierdzy, na wyniosłym punkcie kazał wybudować zamek, który nazwał *Kamieniec* (Kamencik, Kamenek lub Kamgruk u kronikarzy, a dzisiejszy Kamenz), tudzież kaplicę św. Prokopowi poświęconą. Po zawarciu pokoju i po powrocie do kraju swego, zamek

i kaplicę darował Bolesławowi Krzywoustemu.

Zamek kamieniecki dla kraju szląskiego coraz bardziej stawał się groźnym. Czechy, zająwszy go powtórnie i mocniej obwarowawszy, chronili się w nim, ilekroć przy napadach swoich porażeni zostali. W roku 1103 wojsko Borzywoja czeskiego pod nim obozowało, a w roku 1132 tłumy czeskie, rzuciwszy się z niego na Szląsk, spustoszyły krainę aż do Odry, do 300 miast i wsi obracając w perzynę. Klęsce tej dopiero pokój w roku 1137 zawarty w Kladzku tamę położył.

W roku 1207 Henryk Brodaty, za pomocą biskupa Wawrzyńca I, przeistoczył zamek kamieniecki na klasztor, do którego w roku następnym wprowadził się Wincenty Pogarell czyli Pogrell, kanonik zakonu św. Augustyna, wraz z kilką innymi kolegami.

On, jako pierwszy proboszcz, wystawił większy kościół na cześć Najświętszej Panny, a sam klasztor coraz więcej zubożonym został fundacyami. W roku 1249 przeszedł w ręce zakonu cysterskiego, który do roku 1810 w nim się utrzymał. Jeden z opatów kamienieckiego klasztoru, w czasie pierwszej wojny szląskiej, przytomnością umysłu wyratował Fryderyka II króla pruskiego z niewoli, jak donosi tablica w kościele zawieszona.

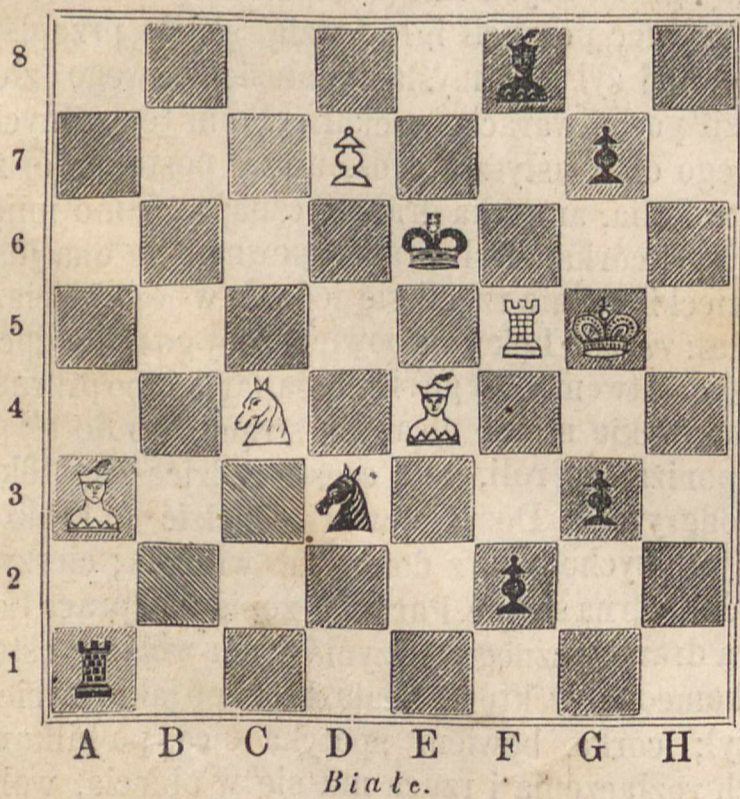
W roku 1810 Kamieniec stał się własnością królowej niderlandzkiej, a klasztor przemienił się w piękny zamek, który jednak siedm lat później wraz z kościołem zgorzał. Na gruzach jego wzniesiono potem przepyszny gmach, przedstawiony na załączonym drzeworycie.

## SZACHY.

ZADANIE III.

Białe zaczynają i dają mata za drugim posunięciem.

Czarne.



Rozwiązanie zadania Ner 2.

Białe.

Czarne.

- 1) E 6 — F 7 . . . . . 1) F 4 — G 4.
- 2) G 8 — H 8 † . . . . . 2) H 6 — G 5.
- 3) H 8 — F 6 bierze † i mat.

Gdyby w pierwszym posunięciu czarne, zamiast postawienia wieży na G 4, pojechały którym z chłopków, wtedy królowa biała daje im mata za drugim posunięciem, stając na G 6.

## REBUS.



Rozwiązanie rebusa zamieszczonego w Nrze 3. Patrzycie a nie widzicie, że chora ma kurcze w nogach.